

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

Powieść.

— A przedtem, czyście państwo nie spostrzegł nikogo w parku? Czy nie widzieliście kogoś uciekającego?

— Nie, panie.

Deverrier zamilkł na chwilę, przeszywając biedną przestraszoną kobietę badawczym wzrokiem. Czyhał na każdą zmianę wyrazu twarzy, jak kot czyha na mysz, już ujętą i zranioną, którą wypuścił z pazurów, aby z większą rozkoszą pochwytać ją znowu, gdy ośmieli się uciekać. I nagle zadał Julii beztroskie pytanie:

— Dlaczego suknie, które pani miała na sobie wczoraj wieczór, zbroczone są krwią jej męża?

Oślepiała kobieta, nie rozumiejąc zapytania, wpatrzyła się wytężonym wzrokiem w sędziego i nie odpowiedziała.

Wówczas Ludwik, nie bacząc na rozkaz nie przemawiania, zabrał głos znowu:

— Na mojej odzieży znalazłem również, panie sędzio krwawe plamy... Wszakże zanim pani tu weszła, powiedziałem wyraźnie, że przybyliśmy do pawilonu w chwili, gdy na jego progu doktor ducha wyzionął... Dotykaliśmy go, próbowaliśmy podnieść... Więc nic dziwnego, że obryzgała nas krew, obficie płynąca z świeżej rany...

Julia drgnęła i wyjąkała:

— Nie widziałam krwi... Nie wiem, gdzie jest moja suknia...

Deverrier wyciągnął szybko z poza siebie ubranie, które pokojówka przyniosła komisarzowi zrana.

— Oto kostium, który pani miała na sobie w nocy... Wszakże go poznajesz?

Ona prawie machinalnie odpowiedziała:

— Tak.

Ludwik chciał mówić znowu, lecz sędzia, uniesiony gniewem, krzyknął głośno:

— Ależ tego nie podobna dłużej znosić!... Ponieważ nie raczyłeś pan uwzględnić mego ostrzeżenia, chciej wyjść stąd natychmiast!

I dodał po chwili, marszcząc czoło groźnie:

— Niech i pan Robertin wyjdzie także z pokoju!

Julia, posłyszawszy to, zawołała rozdzierającym serce głosem:

— Mój brat!... Och! zaklinam pana na wszystko, co masz najświętszego, pozwól mu pozostać!

Uczuła się nagle opuszczoną, pozbawioną opieki, pokonaną. Tem bardziej lękała się pozostać samą na sam z urzędnikiem sądowym, im więcej liczyła na pomoc Marceliego.

Nieoczekiwane drugie wydalenie było tak zwany „kawalek” pana sędziego.

Pozwolił Julii ludzić się czas jakiś względną opieką ukochanego brata, postanowił jednak z góry, że w danej chwili, gdy okaże się potrzeba silnego zaniepokojenia biednej kobiety, pozbawi ją jej nagle.

Marceli, który wiedział, że formalności sądowych lekceważyć nie należy, powstał natychmiast z krzesła i przystąpił do siostry.

Głęboko wzruszony, pocałował ją w czoło.

— Mów dalej prawdę i niczego się nie lękaj! Nie mamy sobie nic do wyrzucenia — szepnął zdławionym głosem.

Agent wypychał obu młodych ludzi za drzwi.

— Niech panowie wyjdą... proszę bardzo!

Wyszli. Drzwi zamknęły się za nimi. Julia, która w tym momencie powstała, przeprowadzając wzrokiem od dalającego się brata, upadła znowu na fotel. Ten ponury pokój, którego prawie nie знаła — był bowiem pracownią zniecierliwionego męża — przedstawiał się dziś jej oczom podwójnie wstrętnym i groźnym. Lecz z wielkim zdziwieniem ujrzała nagle sędziego, uśmiechającego się dobrodusznym i posłyszawszy głos, o słodkim brzmieniu, przemawiający do niej niemal serdecznie.

— Nie miej obawy, drogie dziecko, wyznaj wszystko... Poznałem odrazu, że nieświadoma i zaslepiona, wciągnięta zostałaś w ohydny awanturę, za którą ciężkie brzemię odpowiedzialności spada na kogo innego... na dwóch ludzi, w których nie baczenie położyłaś całe swe zaufanie, a do jednego z nich przywiązałaś się w najlepszej wierze, co ze względu na twój wiek, uważam za rzecz zupełnie naturalną...

Po tonie dobrodusznym i słodkim, nadał sędzia głosowi swemu ton poważny i niemal surowy:

— Tylko, jeśli pragniesz pozyskać moją przy-

chylność, musisz wyznać mi wszystko, nie tając nic, wypowiadając to, co wiesz, z całą bezwzględną szczerością.

I po raz trzeci przeobrażony sędzia, pozerając Julię błyszczącymi oczkami, rzekł głosem niemal żartobliwym:

— Wszakże z młodzieńcem, którego stąd wyprowadzę, utrzymujesz pani występny stosunek? Czyż nie tak?

Julia rzuciła się na fotel całą drżąca.

— Nie! Och, nie! przysięgam panu — krzyknęła tonem pełnym rozpacz. — Postąpiłam nieroztropnie, lecz nie jestem występna!...

Przerwał jej z odcieniem lekceważenia w głosie:

— Dobrze! dobrze! Czy się pani przyzna do stosunku z panem Ludwikiem czy nie, rzecz to dla mnie bez żadnego znaczenia. Zresztą widzę, że cokolwiek jesteś dla niego, zuch wywiera na panią wpływ wielki, również jak jej braciszek.

Julia, odzyskawszy nieco energii, a nie domyślając się na jakie niebezpieczeństwo narażają ją jej słowa, ze względu na znaczenie, jakie im może być nadane, zawołała:

— Ludwik i Marceli są dla mnie jedynym oparciem w ciężkich warunkach istnienia, oraz moim jedynym przywiązaniem!... Nie zbłądziłam, bo chyba błędem nazwać nie można gorącego pragnienia zerwania więzów, którymi się skrupowałam, przejęta trwogą na myśl o czekającym mnie zupełnym osamotnieniu, a przytem obawiając się nędzy i pragnąc zapewnić młodszemu bratu jakie takie utrzymanie.

Sędzia z zadowoleniem potrząsnął głową.

— Już jest bliska wyznania — pomyślał.

I tonem, niby obojętnym, zapytał:

— Więc pani pragnęłaś śmierci męża?

Młoda kobieta drgnęła, bo przypomniała sobie nagle straszne wrażenie, jakiego doznała na widok krwi brojącego trupa doktora.

— Jego śmierci?... Och, nie! nie! Nigdy nie pragnęłam jego śmierci! Chciałam tylko rozvodu.

Sędzia syknął.

— Pi, pi, pil... Czy w rzeczy samej?... Wszakże po rozwodzie traciłaś wszelkie prawo do objęcia w posiadanie pięknej fortuny męża?

— O, nie myślałam o jego fortunie! — zawołała młoda kobieta z zapalem, palającym w jej oczach. — Niczem byłoby dla mnie ubóstwo z chwilą odzyskania swobody! Wolności!... tylko wolności pragnęłam!

— Może pani samej wolności wystarczy — odparł sucho pan Deverrier — lecz niema wątpliwości, że jej przyjaciel i braciszek niechętnie wyrzekliby się tak znacznego łupu!

Błask oburzenia zamigotał w oczach Julii.

— Mylisz się pan! Jeszcze w nocy dzisiejszej zapewniał mnie Ludwik, jak dlań wielce pożądanym byłoby przybycie do jego skromnego domowego ogniska!... Marceli zaś doszedł wieku, w którym łatwo mu będzie zarabiać na własne utrzymanie... Zresztą, on również jak ja nienawidził naszej wspólnej niewoli. Jabym się na nią nie zgodziła nigdy, gdybym mogła wyobrazić sobie, jak stanie się ohydą!

Badanie nie dawało tak szybkich rezultatów, jakich sędzia oczekiwał, więc przerwał jej mowę z widocznym rozdrażnieniem:

— Na co tyle słów próżnych, nie dowodzących niczego! Są pewne fakta, którym pani zaprzeczyc nie może!... Marząc o rychłym pozbyciu się męża, którego nienawidziłaś, aby czempredziej wyjść za swego kochanka, wyludziłaś przedślubną umowę, mocą której rozkochany w tobie i zanadto pani ufający człowiek przekazywał ci po śmierci cały swój majątek. Wobec tego, że niecierpliwie oczekiwana śmierć nie nadchodziła dość spiesznie, uknułście spisek, mający na celu wywołanie zgonu do którego... zapomocą zbrodni!

Zamilkł, badając wyraz twarzy młodej kobiety, zmieniony nagłym osłupieniem.

Poczem dodał głosem groźnym i jak bicz chłoszczącym serce biednej Julii:

— Dalej! wyznaj że pani całą prawdę! W ciągu nocy ostatniej, w parku, Ludwik Marsol i brat pani zamordowali jej męża, wciągniętego w zasadzkę, a pani, jeśli nie brałaś czynnego udziału w mordzie, to co najmniej jesteś ich moralną współniczką!

Julia powstała wyprostowana i sztywna, rzucając w oko błędnym wzrokiem, a z piersi jej wyrwał się przeciągły jęk, tętniący tonem strasznej boleści.

— Ach! ach!

Czuła okropny zawrót głowy.

— O, mój Boże! podejrzewają mnie — myślała. — Oskarżają Marceliego i Ludwika!... Krew mego męża spada na głowy tych dwóch niewinnych!

Jęknęła jeszcze dwa, czy trzy razy, coraz słabiej,

coraz ciszej, poczem źrenice jej zamglonych oczu utonęły pod przysłaniającymi je powiekami, ramiona, jak skrzydła ptasie, zatrzepotały w powietrzu i padła na wznak pozbawiona przytomności.

Deverrier zerwał się z siedzenia na równe nogi.

— Masz tobie! Zemdla! — mruknął podrażniony niepowodzeniem i zawodem.

Dwaj ajenci, świadkowie całej sceny, zbliżyli się żwawo. Piękność i młodość nieszczęsnej ofiary wzbudziła w nich litość.

— Trzebaby ją wynieść na świeże powietrze, panie sędzio! — wygłosił jeden z nich poważnym tonem.

Deverrier machnął ręką zniecierpliwiony.

— Tak, tak! wynieście ją czempredziej! Niech się kto nią zajmie... A to istna mimoza!

Ajenci nie dali mu ponowić rozkazu, porwali Julię z pośpiechem i przenieśli na kanapę do sąsiedniego salonu, w którym Guillaume, siedząc przy stole, redagował swój raport na piśmie. Podniósł głowę zdziwiony.

— Co to jest?

— Zemdleń — odparł jeden z agentów, rozpinając stanik od sukni Julii, gdy drugi pobiegł po szklanek świeżej wody.

Komisarz policyi powstał i przystąpił do omdlałej, pytając agenta z ciekawością:

— Czy się przyznała?

Ajent wzruszył ramionami.

— Nie!... Mnie się zdaje, że...

Nie skończył zdania, lecz Guillaume zrozumiał, że według mniemania tego człowieka, sędzia mylić się musi.

Często bardzo świadek śledztwa kryminalnego, mniej doświadczony od badającego, lepiej rozumie stan duszy obwinionego niż sędzia, pochłonięty cały powziętem z góry uprzedzeniem; zwłaszcza gdy jak Deverrier, przygotowuje w myśli niespodziane, wywołać mające wrażenie przestrachu, zapytania.

— A! a! — szepnął Guillaume zamysłony.

W tej chwili młoda kobieta odzyskiwać zaczęła zmysły.

Podniosła się, wspierając się na łokciach, usiadła i powiodła błędnym wzrokiem wokoło. Poczem utkwiała oczy w oczach komisarza. Poznała go i wyciągając doń błagalne dłonie, zawołała, zanosząc się od płaczu:

— Ach, panie!... Ratuj mnie! ratuj nas!... Jesteśmy niewinni!... przysięgam!

Taka szczerość dźwięczała w tonie, jakim to wy-mówiła, że komisarz uczuł się zachwiany w niedawno powziętem przekonaniu.

— Tam do dyabła! Coś mi się zdaje, że zbłądził! — mruknął do siebie przyciszonym szeptem. Gorzki wyrzut przeszył mu wzrok boleśnie, bo zrozumiał, że wskazany przez niego trop popchnął sędziego śledczego w fałszywym kierunku, z którego trudno go będzie teraz sprowadzić.

Tymczasem Julia zrozpaczona, rozgorączkowana, z rozpuszczonymi pięknymi blond włosami, spadającymi w nieładzie na jej białe czoło i ramiona, z oczami pełnymi łęku, w których malowało się ogromne cierpienie, mówiła dalej:

— Panie! panie! Ułituj się, dopomóż nam!...

Sędzia się myli!... Złoczyńca musi być gdzieś blisko... a jeśli już uciekł, to schwytać, ująć go należy!... Mój brat!... Ludwik!... Och! ci nieszczęśliwi!... Oskarżają ich! Ależ to szaleństwo! Marceli z domu nie wychodził, w ciągu całej strasznej nocy spał u siebie spokojnie... A Ludwik nie opuszczał mnie ani na chwilę... Przejęty litością, próbował podnieść z ziemi ciało mego męża... pragnął dosłuchać się bicia jego serca... O, mój Boże! jak można nas posądzać!... Bylibyśmy chyba potworami, gdybyśmy wymyśliли i wykonali tak wstrętne zbrodnie! Zabić zamordować człowieka!... przelać krew bliźniego!... och!... jakie to okropne!... Sama myśl o tem dławi jak zmora, przygniata piersi... I to mnie i ich obwiniają!... Boże! mój Boże! co mówić?... co począć? Sądzę, że oszaleję!... Pan, panie komisarzu, wydajesz mi się dobrym człowiekiem... Pan chyba musisz rozumieć, że mówię prawdę... Pomóż nam! Ocal nas!

Guillaume, wzruszony mocno, chociaż fizyognomia jego zachowywała wyraz bezwzględnej obojętności, którego umiał nie pozbywać się nigdy, potrząsnął naraz obu ramionami — co było u niego oznaką pogardliwego mniemania o wiedzy i zdolnościach swego przełożonego, sędziego śledczego — i zwrócił się do jednego z agentów, który pozostał tu jeszcze, drugi bowiem, wezwany przez Deverriera, wyszedł przed chwilą.

— Słuchaj-no! idź poszukać brata pani, niech tu przyjdzie i zaprowadzi panią do jej sypialni, gdzie odpocznie i odzyska trochę spokoju.

Ajent skinął głową.

— Dobrze, panie komisarzu, idę!